

KAPUCYNI i MISJE



Biuletyn Misyjny Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

ISSN 1642-8897, rok 2019, nr 2



Ochrzczeni i postani.
Kościół Chrystusa z misją w świecie.
Temat nadzwyczajnego miesiąca misyjnego, październik 2019



Drodzy przyjaciele misji kapucyńskich!

Po raz kolejny chcemy się z Wami spotkać na łamach naszego Biuletynu misyjnego i przekazać garść informacji z działalności misyjnej braci kapucynów. Podczas tegorocznych niedziel misyjnych organizowanych w parafiach mieliśmy okazję wielu z Was zobaczyć, z wieloma porozmawiać i podziękować za Wasze zaangażowanie w dzieło misyjne braci kapucynów w Afryce. W tym roku, jak nigdy wcześniej, na wakacjach w Polsce było więcej misjonarzy niż pozostałych w Afryce. Na dwunastu wszystkich misjonarzy, ośmiu przebywało w Polsce. Dzięki ich obecności udało się nam przeprowadzić animacje misyjne w parafiach i kościołach w następujących miejscowościach: Krakowie Olszanicy, Wołczynie, Zagórze, Wrocławiu, Sędziszowie Małopolskim, Kielcach, Bytomiu, Krośnie, Nowej Soli, Wałczu, Stalowej Woli i Skomielnej Czarnej. W lipcu misjonarze brali udział w Spotkaniu Młodych w Wołczynie, gdzie mogli opowiedzieć młodzieży jak wygląda życie i praca misyjna w Czadzie i RŚA. Również podczas turnusów rekolekcyjnych Młodzieży Franciszkańskiej bracia misjonarze: Paweł Kubiak, Piotr Walocha i Benedykt Pączka byli chętnie słuchani.

Jak co roku, po wakacjach, dokonują się przenosiny braci na placówki misyjne. Spośród Polaków, br. Robert Wnuk po jedenastu latach bycia proboszczem w parafii Bocaranga w Republice Środkowoafrykańskiej został przeniesiony do parafii Gore w Czadzie i tam objął funkcję przełożonego wspólnoty. Dla niego jest to już drugi pobyt w Czadzie, gdyż wcześniej pracował przez cztery lata w parafii w Baibokoum. Brat Piotr Walocha z Baibokoum przeszedł do Bam i został ustanowiony proboszczem i gwardianem. Dla niego przenosiny nie były tak uciążliwe jak dla pozostałych braci, ponieważ obie parafie sąsiadują ze sobą w południowym Czadzie. Najtrudniejsza przeprowadzka spotkała brata Artura Ziarka. Opuścił dom Postulatu w Gore (Czad) i przeniósł się do Ndim w RŚA. Po dziewięciu latach pracy misyjnej będzie musiał nauczyć się kolejnego języka afrykańskiego – sango, którym posługuje się cała ludność Republiki Środkowoafrykańskiej. Przenosiny dotyczą też innych braci obcokrajowców i autochtonów należących do Kustodii Czadu i RŚA. Warto podkreślić fakt, że kapucyni powrócili do swojego domu w Bossangoa po kilku latach nieobecności.



ści. W tym czasie z domu korzystał biskup ordynariusz diecezji Bossangoa.

Brat Robert Wieczorek, którego dobrze znacie z kart naszego biuletynu, po 25 latach pracy misyjnej w Republice Środkowoafrykańskiej zakończył swoją obecność w tym kraju. Aktualnie przebywa w Polsce i uczy się języka angielskiego. Minister Prowincjalny zlecił bratu Robertowi zadanie zbierania informacji i rozeznawania w sprawie możliwości otwarcia przez naszą Prowincję misji w kolejnym kraju afrykańskim. Dużą uwagę w tym względzie poświęcamy Sudanowi Południowemu, którego mieszkańcy cierpią nie tylko z powodu braku pożywienia, ale również odczuwają brak kapłanów, opieki duchowej i sakramentalnej. Prosimy Was gorąco o modlitwę w intencji rozeznawania woli Bożej co do przyszłości misyjnej naszej Prowincji.

Miesiąc listopad kojarzy się nam z modlitwą za zmarłych. Tradycyjnie zapraszamy Was do wspólnej modlitwy różańcowej za zmarłych w wypominkach (wspominkach). Z roku na rok coraz więcej osób przysyła imiona swoich zmarłych drogą elektroniczną zamiast tradycyjnie drogą pocztową. Jesteśmy Wam za to wdzięczni, gdyż to ułatwia nam przesłanie tych kartek do Afryki. Prosimy nie skanować kartki umieszczonej w biuletynie, ale bezpośrednio wpisywać imiona zmarłych w treści maila. W związku z przenosinami brata Artura Ziarka, zmieniamy również miejsce modlitwy różańcowej z Czadu na Republikę Środkowoafrykańską. Tym razem z bratem Andrzejem Barszczem będą się modlić nowicjusze w Bimbo.

Serdecznie Was pozdrawiam i zapewniam o modlitwie za wszystkich Przyjaciół misji.

br. Jerzy Steliga, sekretarz misyjny



Wypominkowa kuchnia w Gore

z Republiki Czadu pisze br. Artur Ziarek OFM Cap

Postulat to pierwszy okres formacji zakonnej, gdzie kandydaci przyglądają się kapucyńskiemu życiu. Uczestniczą w życiu wspólnoty i umacniają podstawy swego życia chrześcijańskiego. Z całą pewnością jest to czas niezwykle twórczy dla młodego człowieka, a my bracia - wychowawcy możemy uczestniczyć w procesie ich wzrostu duchowego i ogólnoludzkiego. Wymaga to od nas dużego zaangażowania, cierpliwości i życia w prawdzie, bo nie tylko opowiadamy jak wygląda życie zakonne, ale przede wszystkim swoją postawą dajemy świadectwo w Kogo i co wierzymy. Podkreślają to także nasze Konstytucje, w których możemy przeczytać, że każdy jest formatorem i jednocześnie jest formowany.



szafki i stoły ze stali nierdzewnej. Wszystkie te sprzęty pozwolą nam na łatwiejsze przygotowywanie posiłków, a także szybsze zmywanie po posiłkach.

Warto zaznaczyć, że w naszej wspólnocie każdy ma szansę nauczyć się gotować. Nie zatrudniamy kucharza, tylko postulanci parami mają dyżury w kuchni. Jedni gotują, inni zmywają na zmianę i dzięki temu każdy ma szansę nauczyć się wszystkich czynności. Zależy nam na tym, by wykorzystywać naturalne talenty postulantów. Ponieważ nadal rozeznają swoje powołanie, takie umiejętności są bardzo pomocne w codziennym życiu, niezależnie czy wybiorą drogę życia zakonnego czy powrócą do stanu świeckiego.

Niezwykle ważne jest, by w tym procesie formacji wykorzystać wszystko to, co nas otacza. Dlatego w naszej wspólnocie w Gore w Czadzie szczególnie dbamy o to, by jak najwięcej tworzyć przez pracę własnych rąk. Temu służy choćby nasz ogród oraz skromne gospodarstwo, które w dużej mierze pomagają nam się utrzymać.

Wzrastająca liczba powołań, a konkretnie w tym roku 18 postulantów wymusiła na nas rozbudowę kuchni. Kiedy postulanci wyjechali do swoich rodziców, postanowiliśmy wybudować nową kuchnię, starą wyremontować, aby oba pomieszczenia służyły przygotowaniu posiłków w bardziej higienicznych warunkach. Dzięki pomocy finansowej którą otrzymaliśmy z Polski, mogliśmy zrealizować projekt budowy i wyposażenia kuchni. Zainstalowaliśmy nowy piec kuchenny, zlewozmywaki,

Projekt nowej kuchni mogliśmy zrealizować dzięki ofiarom pieniężnym za tzw. wypominki za zmarłych, które w ubiegłym roku otrzymaliśmy od Sekretariatu Misyjnego. Modlitwa za zmarłych jest także żywa w kościele afrykańskim, a my w tę modlitwę włączaliśmy tych Drogich Zmarłych, których polecali nasi dobrodziejcy w Polsce. Każdego dnia w listopadzie nasza wspólnota zakonna modliła się na różańcu w intencji zmarłych. A raz w tygodniu, w każdą sobotę listopada, odprowadziliśmy Mszę świętą za Drogich Zmarłych polecanych z Polski.

Zmarli nam bliscy nadal są w naszych sercach i choć nie ma ich na ziemi tu z nami możemy na parę sposobów im pomagać. To co najlepszego możemy zrobić to ofiarować modlitwę i Mszę świętą za nich.

br. Artur Ziarek



Uratowany chłopczyk otrzymał imię Merveille de Dieu Mathias, czyli Cud Boży Maciej. Faktycznie z cudem Bożym można powiązać kulisy jego przyjścia na świat. Poród nie przebiegał prawidłowo. Po tym jak jego mama trafiła do szpitala, okazało się, że nie słychać tętna płodu - czyli dziecko najpewniej nie żyje. Zapadła decyzja o natychmiastowej interwencji przez „cesarskie cięcie”. Po wyjściu dzieciątka okazało się, że chłopiec był kilkakrotnie owinięty pępowiną wokół szyi. Nie miał prawa żyć. Przeciąłem pępowinę, dziecko przekazał mi położnej, a my z szefem szpitala, doktorem Se-

Po południu otrzymałem telefon, że z małym jest źle, nie można oznaczyć jego temperatury ciała. Wniosek - hipotermia, wyziębienie, co dla takiego szkraba jest zabójcze. Pojechałem natychmiast do szpitala. W Republice Środkowoafrykańskiej medycyna jest często sztuką improwizacji. Tak było i tym razem. Skojarzyłem, że matki często dogrzewają swoje dzieci ciepłotą własnego ciała. Jednak mama chłopczyka była ciągle nieprzytomna po operacji. Nie myślałem długo. Rozebrałem chłopczyka, zdjąłem koszulkę, położyłem go brzuszkiem na



W naszym szpitalu, dzięki wsparciu Fundacji Kapucyni i Misje udaje się prowadzić reanimację pediatryczną, gdzie leczone są dzieci trafiające do szpitala w bardzo ciężkim stanie. Dzięki Fundacji wszystkie leki dla dzieci są za darmo, dzięki czemu przy ratowaniu życia maluchów nie trzeba czekać, aż rodzina zbierze pieniądze. Dzięki środkom finansowym przyznanych przez Fundację, udało się nam wyremontować blok operacyjny. Położyliśmy kafelki na podłodze, zmieniliśmy całą instalację sanitarną, a nawet kupiliśmy klimatyzację, która czeka już na zamontowanie. Wpłynie to bardzo na podniesienie jakości pracy i komfortu małych pacjentów, bo do tej pory temperatury niejednokrotnie przekraczały 40°C. Zakupiliśmy także nowe akumulatory, panele słoneczne i lampy dzięki czemu w całym szpitalu jest obecnie światło pochodzące w całości z energii odnawialnej.

br. Maciej Jabłoński





Wioski i miasta w Republice Środkowoafrykańskiej

z Bangui, stolicy Republiki Środkowoafrykańskiej pisze br. Andrzej Barszcz OFM Cap ● ●

Afryka to kontynent, który zwykle kojarzy się przeciętnemu człowiekowi z safari gdzie można z bliska, w środowisku naturalnym spotkać dzikie i egzotyczne zwierzęta. To również piękne pejzaże z lasami równinowymi, pustyniami, ogromnymi sawannami, malowniczymi zachodami słońca i dziką naturą. Taką Afrykę znamy z opisów zamieszczonych w przeróżnych książkach przyrodniczych i podróżniczych. Jednak Afryka to kontynent przede wszystkim zamieszkiwany przez ludzi. Ponad 1,216 miliarda Afrykańczyków tworzy specyficzną, różnorodną kulturę. Ich życie przebiega w charakterystycznych wioskach i miastach leniwie przybierających nowoczesny wygląd. Jeżeli chcecie zobaczyć wioski - żywe skanseny z dacha-



mi domów pokrytymi strzechą, bez dróg asfaltowych, bez elektryczności, bieżącej wody, za to z lampami naftowymi, żelazkami na tzw. dusze, kuchniami „polowymi” – to zapraszam w głąb tego kontynentu, do Republiki Środkowoafrykańskiej. Kraj terytorialnie jest dwukrotnie większy od Polski ale zamieszkiwany tylko przez 5 milionów ludzi. Większe skupiska ludzkie znajdują się w zachodniej części kraju. Małe osady ludzkie, wioski czy małe miasteczka wyróżniają się jedynie ilością charakterystycznych domków. Ze względu na brak jakiegokolwiek przemysłu w tym kraju, miejscowa ludność znajduje jedyne źródło utrzymania w pracy na roli. Uprawiają maniok, orzeszki ziemne, kukurydzę, fasolkę, które bezpośrednio trafiają do rodzinnej kuchni lub też są sprzedawane na targowisku. Uprawa roli nie jest zmechanizowana, nie używa się żadnych maszyn, nawet wołów. Wszystkie narzędzia są ręczne i nie wystarczają do

uprawy większych arealów. Kto zaś mało sieje to i mało zbiera. Rodziny wiejskie są liczne i wielopokoleniowe. Zazwyczaj na terenie przynależnym do konkretnej rodziny znajduje się kilka domów, wybudowanych często z niewypalanej cegły glinianej pokrytych strzechą. Rodzina gromadzi się raz dziennie na spożycie wspólnego posiłku. Opiekę nad najmłodszymi dziećmi przejmuje starsze rodzeństwo. Wiejskie szkoły są na bardzo niskim poziomie i są utrzymywane przez rodziny uczniów. Nie wszystkie dzieci kończą szkołę, nawet na poziomie podstawowym. Niektóre dzieci są wysyłane do miasta aby tam zyskały lepsze wykształcenie. Często takie posłanie dziecka na naukę do miasta jest inwestycją, na którą składa się cała rodzina. Jedynymi wydarzeniami w wiosce są miejscowe targowiska i liturgia sprawowana w wiejskiej kaplicy. Pogrzeby stają się wydarzeniami, na których gromadzi się licznie nie tylko cała rodzina, ale wręcz cała wioska i uroczystość trwa przez kilka dni. Jeżeli docierają do wioski fale radiowe to często widać ludzi słuchających radio nie tylko w domu ale też w drodze czy podczas pracy na polu. Rozwój ekonomiczny wioski zależy od jej położenia względem najbliższego miasta czy większego targowiska, od warunków komunikacyjnych, ale przede wszystkim od sytuacji politycznej kraju. Wiele bowiem wiosek znajduje się obecnie w tzw. strefie czerwonej czyli na terenie gdzie grasują uzbrojone bandy rebeliantów. Grupy tych bandytów regularnie napadają i okradają tę i tak biedną ludność cywilną. Z tego względu w wioskach tworzą się grupy samoobrony. Wiele wiosek musiało całkowicie przenieść się w inne miejsce, a wielu mieszkańców przebywa w prowizorycznych bazach dla przesiedleńców, które są chronione przez wojsko ONZ. Ludzie w takich obozach nadal jednak



identyfikują się wg. pochodzenia z takiej czy innej wioski czy przynależności do grupy etnicznej. Najczęściej jedynym oficjalnym dokumentem jaki posiadają jest karta chrześcijanina, na której podane są dane osobowe, data urodzenia, chrztu, bierzmowania, ślubu a także parafia z której człowiek pochodzi. Nadal bardzo mocne są więzi rodzinne i wspólnotowe, przynależność do wsi czy regionu. Relacje międzyludzkie ciągle opierają się na gościnności, wspólnym przeżywaniu przeróżnych wydarzeń społecznych, religijnych czy rodzinnych. Pomimo tragicznych wydarzeń wojennych jakie nawiedzają ten region Afryki, miejscowa ludność znajduje pociechę w wierze, a w prostych i bardzo skromnych warunkach stara się normalnie żyć. Wiara jest siłą, która pozwala przetrwać, przebaczyć krzywdy, inaczej tłumaczyć obecną rzeczywistość i planować przyszłość.



Tutejsze miasta, miasteczka często niewiele różnią się w swojej zabudowie od wiosek. Zazwyczaj nie ma większych budynków, dzielnice składają się z małych domów budowanych jak w wioskach, tylko że są ich większe skupiska. Od ostatnich wydarzeń w 2013r czyli rebelii Seleka, napaści bandytów którzy przejęli kontrolę nad krajem, liczba mieszkańców w miastach wręcz się podwoiła. Wiele mniejszych miejscowości zostało zniszczonych i opuszczonych a ludzie przenieśli się tam, gdzie wydaje im się, że jest bezpieczniej. To właśnie w miastach i większych miejscowościach stacjonują siły ONZ, które choć nie prowadzą działań zbrojnych, swoją obecnością zapewniają mieszkańcom względny pokój. Miasta stały się zlepkim ludzi z różnych stron kraju. Najlepiej widać to w stolicy RŚA - Bangui gdzie liczba mieszkańców wzrosła do miliona. Jedynie w centrum miasta znajdują się wyższe budynki i kilkupiętrowe bloki mieszkalne. Pozostałe dzielnice składają się z chaotycznie pobudowanych domów, do których można dotrzeć pieszo lub motorem. Ciasnota jest ogromna i często aż trudno uwierzyć że w takim małym domu mieszka tyle osób. Całe miasto zamieniło się w jedno wielkie targo-

wisko, bo na ulicach dokonuje się miejscowy handel. Ceny towarów są bardzo wysokie gdyż oprócz piwa i drobnego rękodziela nie ma innej produkcji i wszystkie towary przywożone są z zagranicy. Na ulicy można kupić mydło, meble miejscowej produkcji, warzywa, owoce, mięso w otoczce chmury much. Można też coś zjeść i wypić w tutejszym barze szybkiej obsługi, obok fryzjerzy podcinają włosy, mechanicy naprawiają motory, telefony... Wszędzie słychać bazarowy gwar i głośną muzykę z miejscowymi rytmami. Po przeludnionym mieście najłatwiej poruszać się tzw. mototaxi, czyli na wynajętym motorze z kierowcą, który potrafi przewieźć na raz więcej osób, niż nasze polskie taksówki. Wliczając dzieci widziałem takie mototaxi, które przewoziło siedem osób na motorze. Często widać też samochody handlarzy z zaopatrzeniem, które przyjeżdżają lub wracają na prowincję a wyglądają jak przeładowane wielbłądy. Codziennie spotyka się przejeżdżającą miejscową policję, wojsko, ale też opancerzone samochody i patrole sił ONZ. Miasto jest brudne i niektóre miejsca wyglądają jak wysypiska śmieci. Ludzie zaś są poubierani w charakterystyczne kolorowe stroje. Urzędników można rozpoznać po tym, że mimo gorąca i podrównikowej wilgoci w powietrzu przemieszczają się w pełnych garniturach i koniecznie pod krawatem. Wszyscy używają telefonów komórkowych. Podobnie jak u nas, jedni telefonują inni słuchają muzyki lub radia. Często można spotkać zorganizowane grupy dzieciaków ulicy, którzy żebrzą żeby przeżyć, taki mając sposób na życie. Trzeba bardzo uważać żeby nie zostać okradzionym.

W stolicy jest wiele szkół, ale i tak klasy są liczne. Ucząc w szkole katolickiej, mam w jednej klasie ponad 60 dzieci. W szkołach średnich w poszczególnych klasach jest od 150 do 200 uczniów. Trzeba jednak przyznać, że mimo takiej liczby uczniów, na lekcjach panuje ogromna dyscyplina. Poziom nauczania jest bardzo niski i niewielu osobom udaje się zdać maturę. O studiach mogą śnić nieliczni. Wykształceni młodzi ludzie marzą żeby zostać w przyszłości funkcjonariuszem zatrudnionym przez państwo. Zdecydowana większość rodzin mieszkających w stolicy, posiada jakieś poletko poza miastem i tam coś uprawia żeby przeżyć. Wszecchoobecna jest korupcja, biurokracja, prostytutka, pijaństwo... Jest jednak wiele rodzin mających swoje wspaniałe tradycje, rytuały, które umacniają więzi i pozwalają przeżyć zawirowania polityczne i oprzeć się nowemu stylowi życia w swoistej miejskiej dżungli. Rodzice, dziadkowie mają swoje miejsce w rodzinie i są obdarzeni autorytetem. Wiele decyzji podejmowanych jest na wspólnych rodzinnych spotkaniach. W przypadku śmierci rodziców gdy osierocone są małe dzieci, najbliższa rodzina przejmuje nad nimi pieczę.

Rodzina! to jest ich skarb, ich siła, która w ich kulturze jest ważna na równi z religią.

Rodzina to skarb, tego możemy się uczyć od Afrykańczyków.

br. Andrzej Barszcz



Wszyscy tańczą na moście w Wantounou

Z br. Piotrem Michalikiem, misjonarzem z Republiki Środkowoafrykańskiej rozmawia Andrzej Kerner

Andrzej Kerner: Kiedy rozpoczynasz swój pobyt w Afryce, Tubylcy zaakceptowali Cię od pierwszej chwili?

Jak najbardziej. Ludzie mają tam wielki szacunek dla misjonarzy. W RSA jest kult ważnych osobistości. My – szczęśliwie czy nieszczęśliwie, nie wnikam w to teraz – też zaliczamy się do tej kategorii ważnych osobistości. Więc szacunek miałem jakby z urzędu, z miejsca. Często też słyszałem podszyte szacunkiem pytanie: dlaczego mi, białemu, chciało się przyjechać z bogatego kraju, żeby żyć w tamtejszych niewygodach?

Dlaczego Ci się chciało?

Kiedyś słuchałem pewnego szwajcarskiego księdza, który mówił, że jedną z form ubóstwa jest to, że z centrum zgadzamy się pojechać na obrzeża. W naszym przypadku – decydujemy się wyjechać z Europy, najbogatszego kontynentu, do RSA, jednego z najuboższych krajów świata. Na koniec świata, na zadupie – mówiąc brutalnie wprost. I to jest ubóstwo. Myślałem najpierw, że jest to zbyt łatwe pojmowanie tej cnoty ewangelicznej, którą jako kapucyni ślubujemy. Ale teraz widzę, że coś jest na rzeczy. Wszyscy ludzie w RSA mają trend przeciwny – chcą się za wszelką cenę wyrwać z prowincji, by zamieszkać w stolicy kraju Bangui. Tam jest ich centrum. I to, że my obieramy kierunek odwrotny budzi u nich pytania, ale również szacunek. Ważnym momentem w kwestii szacunku do misjonarzy były zawieruchy militarne i rebelie. Wielu ludzi – a właściwie wszyscy, którzy mogli – uciekali w inne, bezpieczne tereny. A my zostawaliśmy na miejscu. Wtedy nawet ci, którzy dotąd nie byli do nas przekonani, w pełni nam zaufali. Ta solidarność z ludźmi w najtrudniejszych chwilach otworzyła nam drzwi do wszystkich serc.

Dużo czasu poświęcasz na wyjazdy do wiosek. Lubisz o tym opowiadać. Masz w każdej swojej małą, uroczą, afrykańską plebanijkę? Jak wyglądają te wioski?

Wioski są zupełnie inne niż w Polsce. Normalna wioska składa się z chat-lepianek. Budują je z cegieł z wysuszonej gliny i kryją strzechą. W większych, bogatszych wioskach można znaleźć kilka chałup krytych blachą. To cały luksus. Właściwie nie uświadczysz domów z cegieł wypalanych. Może w miastach tak, ale w wioskach – nie.

Z czego robią te cegły?

Glinę mieszają z wodą i tę masę wlewają w formy, najczęściej drewniane. Potem suszą je na słońcu. Dlatego cegły robi się w porze suchej, żeby deszcz ich nie zepsuł.

Czym łączą cegły w czasie budowy?

Też gliną. Nazywają to poto-pot. To taka gliniasta maź. Zresztą określenie poto-pot stosują do wszystkiego co jest rozwodnione, ma bardziej wodnistą konsystencję np. ryż z mlekiem dla niemowlaka to też jest poto-pot.



Jak przyjeżdżasz do wioski, to śpisz w takim glinianym domku?

W wioskach są warunki misyjne, ekstremalne, a każdy misjonarz trochę inaczej organizuje sobie życie, kiedy tam przebywa. Ja zwykle mieszkam wtedy w zakrystii, albo w samej kaplicy. Czasem ludzie oferują jakiś domek do zamieszkania. Do tego trzeba się przygotować. Bo często wyjeżdża się na dłuższy pobyt. Na misji, przed wyjazdem, trzeba wszystko przygotować i niczego nie zapomnieć. Łóżko polowe, śpiwór, jasiek, sprzęty liturgiczne, przybory toaletowe, trochę jedzenia, woda pitna, niekiedy rzutnik i laptop (nie zapomnieć ich doładować), maczetę i saperkę by pokonać nieoczekiwane przeszkody na drodze (zwalone drzewo, błoto), rower – gdy ostatni odcinek drogi jest nieprzejezdny dla samochodu i jeszcze wiele innych rzeczy potrzebnych do duszpasterstwa czy pomocy charytatywnej. Sprawdzić samochód, żeby nie rozkraczył się w buszu.

Na jak długo zwykle wyjeżdżasz?

Większość mojego czasu w RSA spędziłem zaangażowany w pracę formacyjną, dlatego nie mogłem sobie pozwalać na dłuższe wyjazdy do wiosek. Najczęściej wyjeżdżałem do tych najbliższych na Mszę św. czy nabożeństwo. Albo by spotkać katechumenów, przygotować ich do przyjęcia sakramentów. Ale bywały też dłuższe wyprawy na tzw. małe konferencje czyli rodzaj krótkich rekolekcji dla wspólnot. To były takie przedłużo-

ne weekendy by wzmocnić wiarę ludzi. Inny rodzaj wyjazdów: do pracy przy budowie kaplic, szkół, dróg, mostów. Były też kilkudniowe wyjazdy dla formacji liderów i osób zaangażowanych w działalność różnych grup np. Legionu Maryi.

Do wiosek jadę albo sam, albo z innymi osobami: moim współbratem, lub z siostrą zakonną, która pomaga mi w pracy we wioskach, lub z katechistą-dziekanem, lub jeszcze inną osobą która pomaga mi w tym duszpasterstwie.

Kto Cię wita kiedy wjeżdżasz do wioski?

Najpierw muszę powiedzieć, że trzeba się zatrzymać w prawie każdej wiosce po drodze do celu. W każdej z nich są jakieś sprawy do załatwienia. A poza tym – ludzie nie lubią jak misjonarz przejedzie przez wioskę i się nie zatrzyma, by ich pozdrowić. Odbierają to jako brak szacunku dla nich. Ale nie zawsze jest czas, żeby wszędzie się zatrzymać. W każdej wiosce najpierw pojawiają się i witają dzieci. Bo one biegną, są najszybsze i najbardziej spontaniczne. Po nich przychodzi katechista albo członkowie rady parafialnej albo jeszcze inni członkowie wspólnoty (a niekiedy i protestanci), którzy akurat są na miejscu.

W jaki sposób się witają?

Dzieci są bardziej bezpośrednie. Podają rękę, wręcz rzucają się na ciebie, skaczą wokół, tańczą. Cieszą się. Rytualne powitanie ze starszymi wygląda zazwyczaj: podajemy rękę i całujemy w policzek lewy, potem prawy

– dwa razy (nie trzy jak w Polsce). Niekiedy ze starszymi babkami robi się „misiaczka”, obejmie się je serdecznie.

Z młodymi kobietami nie?

Młode kobiety i młodzi ludzie w ogóle nie mają zwyczajów serdecznych powitań z misjonarzem.

Czy jakiś gest powitania mógłby być odczytany jako faux pas?

Uchybieniem byłoby ignorowanie kogoś, nie przywitanie się. Dlatego zawsze staram się nikogo nie pominąć. Takie ignorowanie kogoś może zranić. A forma? Im bardziej radosna i serdeczna, tym lepiej. Uśmiechnięta gęba otwiera drzwi. Warto poświęcić czas, żeby docenić każdego. Pamiętam jak w jednej wiosce starszy katechista z żalem kiedyś mi powiedział, że jeszcze ani razu nie odwiedziłem go w domu, a często jestem u młodszego, bardziej rzutkiego katechisty, którego dom znajdował się o wiele bliżej kaplicy.

Czy Twoje wizyty zawsze są zapowiedziane?

Nie zawsze. Choć ludzie by chcieli, żeby były. Powiedziałem im jednak, że nie zawsze jest to możliwe. Są różne nieprzewidziane sytuacje: mogą np. zachorować i przecież nie pojadę z malarią do wioski. A poza tym powiedziałem im – pół żartem pół serio – że jeśli przyjadę niezapowiedziany, to widzę jak naprawdę działacie na miejscu, że nie robicie tylko na pokaz przed misjonarzem. Kiedyś przyjechałem w niedzielę rano, wcześniej niż zwykle. Niezapowiedziany. Czekalem na katechistę.



Długo. Msza miała się rozpocząć o 8.30, a katechista wrócił z polowania ok. 8.45 Miałem z nim potem rozmowę na ten temat.

Po powitaniach zaczynacie jakiś posiłek?

Nie. Najpierw trzeba się zainstalować. Np. ustawić łóżko w zakrystii czy kaplicy.



Nie ma łóżek na stałe w miejscach, do których przyjeżdżasz co jakiś czas?

Nie ma takiej potrzeby i nawet nie ma tylu łóżek. Jeśli odwiedzam jakąś wioskę raz na kwartał czy pół roku, to po takim czasie materac byłby nadgryziony przez szczury, a łóżko nadżarte przez rdzę. Na siedemnaście kaplic w mojej parafii Ngaoundaye tylko w jednej mam łóżko na stałe - w Boyangou. Tam, niestety, mam sublokatorów tzn. nietoperze, które żerują w pomieszczeniu. Mają gniazdo idealnie nad moim łóżkiem. Za każdym razem gdy przyjeżdżam, trzeba najpierw po nich posprzątać. Zabieram się za to, ale często ktoś oferuje swoją pomoc. Potem siostra woła dzieci, rozdaje im puste butelki po coca-coli, a one biegną do źródła po wodę. Studni w tej wiosce nie ma, ale dzieciaki są dumne, że mogą pójść po wodę dla ojca i dla siostry. A przy okazji jest to dla nich wyprawa rozrywkowa, bo idą razem do buszu i jest wesoło. Jak wrócą, to dostaną cukierka. A nawet jak nie dostaną – to też po wodę pójdą z radością.

Jakie zabiegi higieniczne są możliwe w tych warunkach?

Wieczorem czy rano trzeba umyć zęby, przetrzeć oczy. Nie robię tego jednak wewnątrz chałupy czy zakrystii. Bo woda się porozlewa. Więc wychodzę na zewnątrz. Ale gdzie położysz tubkę pasty do zębów, butelkę z wodą? Najbliższy stół to maska samochodu. I to właśnie tam robię toaletę. Czasem na schodach do kaplicy - o ile te schody istnieją. Bo jak schodów nie ma, to trzeba się schylać, a ja już jestem stary i leniwy, i schylać mi się nie chce. Jeśli jest się w wiosce na dłużej, to wieczorem trzeba się wykapać. Z cegieł zrobiona jest kabina o średnicy około metra, wejście zasłonięte jakąś szmatą. Problemem jest wysokość murku kabiny, sięga zaledwie gdzieś do piersi. Znaczą dla mnie nie ma z tym problemu, ale dla siostry to już tak... Żona katechisty albo jego córka przynosi wiadro ciepłej wody, mydło, pu-

meks i... można brać prysznic. Wbrew pozorom wiadro wody spokojnie wystarcza, a nawet to jest aż za dużo. Oczywiście dla mnie. A propos tego murku. Na szczęście ludzie są tam bardzo taktowni. Nawet dzieci, które podczas całego naszego pobytu nie odstępują nas na krok, gdy widzą, że idziemy wziąć „prysznic” albo za swoją potrzebą (oczywiście tam istnieje tylko standard „na Małysza”), to taktownie zostawiają nas samych i nawet nie czujesz, żeby czyjeś oczy zerknęły w twoją stronę.

Masz jakiś czas na odpoczynek po męczącej drodze?

Rzadko. Program jest wypełniony. Po przyjeździe i zainstalowaniu się, trzeba załatwiać wiele spraw – duszpasterskich, charytatywnych czy związanych z budowlami. Czasem katechista od razu informuje, że jest pilna potrzeba np. ktoś choruje i trzeba go odwiedzić, wyspowiadać, czasem udzielić sakramentu chorych. Albo pomóc rozwiązywać jakiś kryzys małżeński. Trzeba rozmawiać, interweniować, zachęcać. Trudniej jest zorganizować spotkania grup czy ruchów religijnych. Bo skoro przyjechałem niezapowiedziany w sobotę, to ludziom trudno się zebrać. Żeby wtedy coś zorganizować, musi to być wcześniej zapowiedziane np. spowiedź czy zbiórka ministrancka. Natomiast nie trzeba zapowiadać wieczornej projekcji filmu. Bo jak już jest ciemno, to wszyscy są w chałupach, więc publika zawsze się znajduje.

Wozisz ze sobą generator prądu?

Z generatorem zawsze były jakieś problemy. Dlatego przestawiłem się na baterie.

W żadnej z Twoich wiosek nie ma prądu?

W żadnej. Ale są panele słoneczne – takie małe, chińskie, które generują prąd. Dzięki nim mogą ładować swoje baterie do latarek czy komórek. Czasem się widzi człowieka idącego drogą, który na głowie ma taki mały panelik słoneczny, z którego zwisa mu kabelek. I tak ładuje sobie komórkę. Jak podjeżdżam pod czyjś dom, to muszę uważać, bo często tam właśnie, bezpośrednio na ziemi, są położone te małe panele. Głupio byłoby je rozjechać.

A jak bateria np. do laptopa Ci się wyczerpie, to skąd bierzesz prąd?

Teraz wożę zawsze dwie baterie. A poza tym mam specjalne przyłącze do akumulatora samochodowego, z którego też mogę czerpać energię.

Jakie filmy wyświetlasz?

Dawniej próbowałem wyświetlać filmy formacyjne dla poszczególnych grup parafialnych np. dla Legionu Maryi. Ale to nie zdawało egzaminu, bo jak projekcja była w kościele, to na zewnątrz był taki hałas, że nie dało się oglądać.

Skąd ten hałas?

Bo przychodzą dzieciaki i też przecież chcą oglądać. I są oburzone, że nie mogą. Jeden czy drugi rzuci kamieniem na dach, krzyczą. Na nic takie oglądanie. Dlatego teraz wyświetlam filmy dla całych wiosek. Problem

jest taki, że jest tylko jeden film w języku sango – to film „Jezus” nakręcony przez protestantów wg. Ewangelii św. Łukasza. Reszta filmów jest po francusku. Dlatego robię rodzaj tłumaczenia symultanicznego i komentarza do filmów o charakterze formacyjnym. A jak puszczałem im rozrywkowe filmy, to nie robię tłumaczenia. Niech się sami domyślają.

Niewiele zna francuski?

Oczywiście. Nawet sango nie wszyscy znają. (...)

Wróćmy do spotkań w wiosce. Kiedy mieszkasz „u ludzi”, jakie miejsce dostajesz w domu?

Przeważnie jest tak, że każda rodzina buduje sobie mały domek dla gości. I ja tam śpię. Albo – jeśli takiego lokum nie ma – to jeden ze starszych synów, który wybudował już swój domek na terenie rodzinnej zagrody, oddaje go do mojej dyspozycji. To jest bardzo małe pomieszczenie z dużym łóżkiem. Jest poduszka, koce, prześcieradła itd. Nie ma wiele miejsca wokół łóżka. Zadowolony jestem jak znajdę jakieś gwoździe lub ich ekwiwalent wbite w ścianę, bo wtedy mam gdzie zawiesić ręcznik czy habit. Jest jeszcze drugi pokój, właściwie przedpokój. Tam stoi stolik, czasem krzesła. W tym trzeba się pomieścić.

Karmią Ciebie jako gościa?

Tak, oczywiście, cały czas przynoszą jedzenie. Także gdy śpię w zakrystii czy w kaplicy, zawsze mam jedzenie od ludzi. Raz tylko się zdarzyło, że przyszedł zawstydzony katechista i powiedział: ojciec, naprawdę nie mamy co tobie dać. Widziałem, że był bardzo tym zawstydzony i skrępowany. To jest ich punkt honoru, żeby nakarmić misjonarza. Dzielą to zadanie na różne osoby. Bo to dla nich duże przedsięwzięcie: dać jeść.

Bawisz się z dziećmi rodziny i sąsiadów?

Nie jestem za dobry do zabawy. Niekiedy się z nimi powygłupiam, o tak mógłbym powiedzieć. Noszę ze sobą zwykle jakiś sprzęt sportowy typu ringo, paletki do badmintonu, skakanki czy piłkę. Uczę ich na czym polega zabawa w te gry, bo nie wiedzą – oprócz piłki oczywiście. Dla tamtejszych dzieci zabawa jest już wtedy, gdy mogą siedzieć przed drzwiami i patrzeć, co ci biali robią. Ale są też wioski, w których ludzie, także dzieci, są już do nas po prostu przyzwyczajeni. Przyjdą, przywitają się, pocieszą się, trochę się pobawimy, tak normalnie, nic nadzwyczajnego – bo jesteśmy już normalnymi członkami wioski, nie żadną sensacją. Dzieci zawsze towarzyszą nam w czasie spacerów. To są bardzo piękne chwile. Pamiętam jak kiedyś jeden pięcioletek, mułmanin, prowadził nas do źródła i taki był dumny, że może to zrobić. Szedł cały wyprostowany, sprężystym, pewnym i szybkim krokiem, promieniał radością.

Jak często bywasz w wioskach swojej parafii?

Pociesza mnie to, że katechiści nieraz mówili mi, że naprawdę bywam u nich często, że nigdy wcześniej kapłan tak często do nich nie przyjeżdżał. Bywają parafie, że ksiądz do niektórych wiosek przyjeżdża raz na rok. Ja sobie przyrzekłem, że minimum to jest raz na trzy miesiące. Ale jak dotąd udaje mi się być przynajmniej

sześć razy w roku, w niektórych wioskach - dwanaście. Oczywiście w porze suchej jesteśmy częściej, a w czasie pory deszczowej – kiedy dojazd jest utrudniony, a ludzie pracują na polach – rzadziej. Zdarzało się też, że przygotowywałem się już do wyjazdu, ale rozpadało się tak mocno, że musiałem zrezygnować. Bo ryzykowałem pozostanie w błocie w połowie drogi. Muszę tu dodać, że praca w wioskach to dzieło naszej całej wspólnoty braterskiej kapucynów, dzielimy się tą pracą i wspomagamy wzajemnie. (...)

Pomagacie ludziom w ich kłopotach zdrowotnych?

To jedna z podstawowych potrzeb z jakimi ludzie do nas przychodzą. W wioskach generalnie (oprócz tych większych) nie ma ośrodków zdrowia. A jeśli gdzieś są – to trzeba płacić za wizytę i lekarstwa. W Bouar jeździła ze mną do wiosek s. Renata, a w Ngaoundaye – s. Gosia, które mają pewne kompetencje medyczne. Bywały sytuacje, że dzięki ich pomocy - zaaplikowaniu odpowiednich lekarstw czy opatrzeniu ran - uratowane zostało życie. Czasami ratunkiem była także nagła ewakuacja rodzącej do szpitala. Samochód misjonarza często służy jako karetka pogotowia.

Największą pomocą misjonarza w wiosce są katechiści, to wiadomo. Ilu ich jest?

Zależy od wielkości wioski – od jednego do trzech. Czasem nie ma ani jednego. Wtedy obowiązki katechisty przejmuje pomocnik katechisty.

Czym się różni pomocnik od katechisty?

Formacją. Katechiści to ci, którzy przeszli formację na katechistę, a pomocnik katechisty nie. Tych, których wspólnota proponuje na katechistów, a kapłan zatwierdzi, wysyła się z całą rodziną na okres około pół roku do ośrodka szkolenia - wioski dla katechistów. W naszej diecezji mamy trzy takie miejsca: Ngaoundaye, Bocaranga i Baoro. Od grudnia do maja mieszkają tam i przechodzą formację, która ma ich przygotować do przyszłej pracy katechety.

Cała rodzina uczestniczy w tej półrocznej formacji?

Osobna formacja jest dla kobiety: alfabetyzacja, higiena osobista lub dziecka, kuchnia, szydełkowanie, katecheza (przypomnienie), pomoc mężowi w pracy



katechisty itp. Dzieci, jeśli są w wieku szkolnym albo przedszkolnym, wysła się do miejscowej szkoły czy przedszkola i na katechezę. Jeśli trzeba uzupełnić brakujące sakramenty, jak na przykład pierwsza komunია, bierzmowanie czy małżeństwo, to jest w trakcie formacji też przygotowanie do nich.

Kto to finansuje?

W niewielkiej części płaci za to rodzima wspólnota wierzących. Wspierają ich też katolicy z okolicznych wiosek. Prosimy również, żeby w trakcie formacji wspólnota nie zapomniała o swoim katechiscie. Żeby przysyłał mu troszeczkę manioku czy czegoś innego do jedzenia, co pozwoli rodzinie lepiej przeżyć czas formacji. Ja wymagam także od wspólnoty, żeby ktoś zajął się polem katechisty. To jest najtrudniejsze. Chodzi o to, żeby zebrać to, co musi być zebrane, dopilnować, żeby pożar buszu nie spalił pola. I to w zasadzie wszystko. Bo przygotować pole pod zasiew i obsiać go w nowym sezonie upraw nie daliby rady – mają wystarczająco pracy na swoich polach. Dopiero jak katechista wróci ze szkolenia cała wspólnota idzie na jego pole, żeby przygotować je pod zasiew tego, co jeszcze można o tej porze roku zasiać. Bo pora niektórych zasiewów już minęła. Znalezienie pozostałych środków na szkolenie i życie rodzin katechistów należy do biskupa. Udaje się to dzięki znajdywaniu dobroczyńców, przede wszystkim w Europie. Dlatego w tych diecezjach – jak nasza – gdzie jest biały biskup, ta sprawa wygląda lepiej. Rodzimym biskupom trudniej znaleźć dobrodziejów.

Czy oprócz typowo religijnej formacji katechetycznej w czasie tego pół roku szkolenia katechista uczy się jeszcze czegoś innego?

Uczą się francuskiego. Bo często są to ludzie, którzy ukończyli tylko szkołę podstawową, sześcioklasową. Są również zajęcia, wykłady rozwijające sferę czysto ludzką – kulturę osobistą czy przystosowanie do zawodu. Np. w Bocaranga katechisci uczą się krawiectwa i stolarstwa. Kiedy kończą szkołę dostają też podstawowe narzędzia do wykonywania wyuczonego zawodu. Dzięki temu mogą zarabiać na życie rodziny.

Po kilku latach pracy w swojej wiosce, jeśli sprawdzi się jako katechista, jadą na kolejne pół roku formacji. Dotychczas przeważnie pierwszy rok odbywał się w Bocaranga, a drugi w Ngaoundaye. Obecnie, głównie z powodów „niezależnych od nas” (czytaj – wojna), ten system trzeba było troszeczkę zmodyfikować.

Katechisci otrzymują zapłatę za swoją pracę-po-sługę we wspólnocie?

Nie. W statucie katechisty naszej diecezji jest jasno sformułowane, że to praca społeczna. Z jednej strony są z tego dumni, a z drugiej – oczekują pewnego wsparcia. I staramy się o to, bo oni naprawdę dużo robią. To od nich zależy ewangelizacja w wioskach, nie ode mnie. Co ja mogę zrobić raz na dwa miesiące? Od katechisty zależy jak wspólnota funkcjonuje. Ten mechanizm jest wyraźny: jaki katechista – taka wspólnota. Katechista jest dobry, to wspólnota się rozwija. Katechista jest do

niczego – wspólnota zamiera, albo nawet się rozsypuje. W każdym razie: mamy zapisane w statucie, że jedną piątą dziesięciny, którą płacą ludzie, otrzymują katechisci. To nie jest dużo. Sumy są symboliczne. Poza tym jeśli my-kapłani mamy czym się podzielić, to dzielimy się przede wszystkim z katechistami.

Ludzie płacą dziesięcinę? Mówisz o ofiarach składanych „na tacę”?

Nie. Każdy ochrzczony ma przy sobie tzw. kartę chrztu, która zresztą często spełnia rolę dowodu osobistego i jest wystarczającym dowodem tożsamości, akceptowanym nawet przez policję. To dokument, na którym wypisane są jego dane osobowe i sakramenty, które przyjął oraz dzieci – o ile jest rodzicem. Na ostatniej stronie tej karty są rubryki z corocznymi wpisami „denier du culte” czyli „dziesięciny”. Nie są to wielkie kwoty. U nas dorośli są zobowiązani zapłacić na rok 500 franków CFA (około 3,50 zł) zaś dzieci i młodzież – 250. Roczny dochód na osobę wynosi 1500 zł, co miesięcznie daje 125 zł (przyp. red). To i tak niedużo w porównaniu do wymagań kościołów protestanckich. Katechisci często mówią do swoich wiernych: „protestanci każą płacić o wiele więcej i nie ma zmiłuj się, a wy nie potraficie zapłacić nawet 500!?” Są oczywiście z tym problemy, ale dużo zależy od tego jak działa wspólnota, parafia. Jak ludzie widzą, że dobrze się dzieje – nie ma większych problemów z tą ofiarą.

Czy ludzie tamtejsi uważają Cię za swojego?

W Afryce mają takie powiedzenie: nawet jeśli kłoda drewna przeleży w wodzie wiele lat, nigdy nie stanie się krokodylem. Może jest w tym i aluzja do tych, którzy przyjechali na ten kontynent, pokochali go i chcieli być jak Afrykańczycy. To kubek zimnej wody na rozpalone głowy tych, którym wydaje się to stosunkowo łatwe. Owszem, to może się wydawać bolesne komuś, kto całe serce daje temu kontynentowi czy krajowi. Ale kiedy pomyślałem o tym na chłodno, logicznie, wtedy uznałem ich racje. Jestem tam, akceptuję mnie, w pewnym sensie uznają mnie za swojego, ale z pewnością nie mogę powiedzieć, że jestem białym Afrykańczykiem. Są takie przeszkody, które trudno przeskoczyć. To samo zresztą dzieje się również w drugą stronę. Jeśli jakiś Afrykańczyk dostaje polski paszport i obywatelstwo, to też nie jest przecież Polakiem z krwi i kości. Ma mentalność i sposób myślenia trochę inny, niż my, urodzeni w Polsce. W RSA jest to samo. Ale to nie oznacza, że jest jakaś bariera, że nie ma otwarcia. Nieraz mi się zdarzało, że zapraszali mnie do siebie i przedstawiali problemy bardzo osobiste czy też ściśle związane z ich kulturą. A nawet prosili mnie o radę w tych kwestiach, co jest wyrazem dużego zaufania.

Przedstawiliśmy Państwu fragment książki – rozmowy naszego misjonarza br. Piotra, który odpowiada na pytania swojego przyjaciela.

Książka staraniem naszej Fundacji Kapucyni i Misje ukaże się na początku 2020 r.



Życie pełne niespodzianek. Historia Judasza

pisze br. Robert Wieczorek z Ndim w Republice Środkowoafrykańskiej ●●●●●●●●

Po trzech latach systematyczniej, zorganizowanej pomocy niepełnosprawnym z terenu mojej parafii uzbierało się parę historii, którymi chciałbym się podzielić.

Kilka lat temu wraz z siostrami podjąłem wysiłek odwiedzin u chorych we wszystkich wioskach i sporządziliśmy rejestr osób niepełnosprawnych. Każdy chory został szczegółowo opisany, założono mu kartę choroby i zrobiono zdjęcie. W warunkach środkowoafrykańskiej wioski, osoby niepełnosprawne ruchowo, są skazane na poruszanie się na czworaka lub są przykute do jednego miejsca. Rodziny starają się nimi opiekować, ale nie mają środków na wysłanie ich do szpitala. W przypadku wielu pacjentów wiąże się to z podwójną podróżą: pierwsza na konsultację wstępną, a druga na wyznaczoną na późniejszy termin operację do naszego szpitala MNDP (Dom Matki Bożej Pokoju) w Moundou w Czadzie. Szpital MNDP to placówka prowadzona przez naszych współbraci kapucynów, specjalizująca się w operacjach ortopedycznych, leczeniu osób dotkniętych kalectwem, rehabilitacji oraz produkcji protez. Dwa razy w roku przyjeżdża do szpitala tzw. misja chirurgiczna z Europy Zachodniej, czyli lekarze różnych specjalności, którzy przez trzy tygodnie konsultują i operują chorych. Niestety, nie wszystkie historie kończą się happy endem. Ważne, żeby być blisko – pomagać, przekonywać, pokazywać możliwości. Nie wszyscy posłuchają. Ale czy u nas w Polsce jest inaczej?

Czasem spotykam ludzi, którzy chyba nie są zainteresowani odzyskaniem sprawności. To historia związana z moimi ekstremalnymi przeżyciami sprzed roku, gdy pobili mnie rebelianci seleka (przy pomocy paru usługowych sprzedawczyków ze wsi). Od początku odmawiałem wracania do tamtych wydarzeń, ale może jednak się przemogę i wspomnę co nieco o jednym człowieku z wioski związanym z moim pobiciem. To może być pouczające. Nazwę go przystającym doń akuracie imieniem: Judasz.

Parę miesięcy po tym traumatycznym dla mnie wydarzeniu, ludzie donieśli mi: - Ten, co cię sprzedał rebeliantom miał wypadek na motorze i przywieźli go do szpitala z pokiereszowaną nogą... Mężczyzna po czterdziestce, w młodości chodząc do szkoły w Bouar, dał się ochrzcić w Kościele katolickim. Potem nawet jakimś trafem zaliczył rok niższego seminarium w Kamerunie, i co bardzo wymowne: kazał się przez to nazywać „abbe”, czyli ksiądz po francusku. Detal ten wyjaśnia zasadniczy rys jego charakteru: chorobliwie wygórowana ambicja

i drapanie się w górę wszelkimi dostępnymi środkami. Gdy się okazało, że jako ksiądz katolicki nie robi kariery uznał, że lepiej mu będzie u protestantów. Po drodze zmieniał sobie żony, a precyzyjniej: dwie od niego odeszły... Teraz ma trzecią, która wychowuje mu dwójkę podrostków z poprzednich związków. W Kamerunie nauczył się naprawiać telefony i ta rzadka w Republice Środkowoafrykańskiej umiejętność mogłaby mu wystarczyć do całkiem przyzwoitego życia.



Ale to niespokojny duch, do „wyższych celów” stworzony. Przed 10 laty, w czasach poprzedniej rebelii zaistniał jako rzecznik rebeliantów i dochrapał się stopnia kapitana. Teraz gdy przyszła nowa, też nie umiał spokojnie usiedzieć. Gdy organizowaliśmy „komitet mediacyjny”, by mieć wspólne ciało przedstawicielskie lokalnej społeczności wobec rebeliantów z różnych grup mających chęć na osadzenie się w Ndim, mój Judasz postanowił sobie zrobić kampanię przedwyborczą na posła z naszego regionu. Wszedł do komitetu jako rzeczoznawca i kazał nazywać się na kredyt „honorable” (szanowny). Zaczął się też pokazywać na Mszy św. niedzielnej i wpychał się do modlitwy wiernych, by popisać się swą oracją francuską (cała Msza jest w sango). Podczas jednej z porad komitetu mediacyjnego doszło do spięcia, gdy ten trzymając w garści 3 telefony (wtedy nawet jeszcze się nie śniło nikomu o sieci telefonii komórkowej w Ndim) zabrał głos tymi słowami: „Ja, jako przyszły deputowany z tego regionu...”. Nie wytrzymałem i odpałem z miejsca: „Ja, jako przyszły papież mówię ci gadać do rzeczy, a nie rób sobie propagandy wyborczej”. No i wtedy stało się ewidentne, że nie będziemy przyjaciółmi.

Do 2017 roku udawało nam się wspólnymi siłami aktywnie działać w Komitecie Mediacyjnym. Cóż z tego, kiedy po roku mój Judasz rozwałił tą pracę organiczną

kontestując dotychczasową działalność i zażądał nowych wyborów władz, z nim samym tym razem, jako przewodniczącym. W ten sposób storpedował całą inicjatywę, bo dla uniknięcia otwartego konfliktu z niedoszłym posłem (w wyborach przeszedł ktoś inny), ludzie po prostu wycofali się z działalności w komitecie.

Gdy potem doszło do okupacji całego regionu przez kolejnych rebeliantów pod wodzą gen. Mahamata Al-Khatim, stacjonujących aż po przejście graniczne z Kamerunem, Judasz obwołał się mediatorem pod-prefekturalnym. Oczywiście bez żadnego oficjalnego mandatu, bo nowo mianowani przedstawiciele administracji państwowej siedzieli daleko w stolicy Bangui. Stało się jasne, że kilku spośród lokalnych notabli, z Judaszem na czele, wyłamało się z dotychczasowej linii nie kolaborowania z okupantem i zaczęli się z rebeliantami „bratać”. Jeżdżąc do buszu widywałem co niektóre znane mi twarze „negocjujące” z ludźmi w turbanach - jak się niebawem okazało - wejście rebeliantów do Ndim.

A tu tymczasem na drodze okoniem stałem ja, misjonarz, ten „biały”, co to pozwalał sobie ogłaszać Ndim, jako miejscowość zdemilitaryzowaną. Szukali więc wspólnie sposobu jak mnie zneutralizować, a jak się psa chce uderzyć, to kija się zawsze znajdzie. I znaleźli. Gdy siedziałem otoczony przez rebeliantów mój Judasz puszyl się swą rolą, że on coś może i że jego zdanie coś znaczy. Nazajutrz po pobiciu mnie miał jeszcze czelność przyjść do mojego biura parafialnego z naiwnymi żołnierzami bengalskimi z Minusca (wojska ONZ-u stacjonujące w RSA), którzy nie wiedzieli, że sprawcą burdy jest on sam. A poprzedniego dnia groził mi, że jeśli coś pisnę żołnierzom Minusca, to rebelianci wrócą mnie wykończyć. Po upływie miesiąca mój Judasz umizgiwał się na nowo, że on może mi pomóc odzyskać zdarty ze mnie zakonny habit (był pokrwawiony, więc nie mogli mi pozostawić takiego dowodu ich brutalności). Zawiodłem go, bo odburknąłem, żeby go spalił...

Zostałem w Ndim. Nie wyjechałem stąd, choć może tamci bandyci by tego pragnęli... Nastaly między nami ciche dni, bo dotarło do tych kilku sprzedawczyków, że wiem czyja to sprawka. Utoczyli mi nieco krwi, ale ja nie pies, którego biją, a ten jeszcze macha ogonem. Ze mną

tak nie przejdzie: było - minęło... Z drugiej strony codziennie modlę się o dar przebaczenia wrogom, a za mych oprawców o opamiętanie, by porzucili rebelię, bo bronią kraju nie naprawia...

No i kiedyś ludzie mówią mi: Stało się – Judasz ma to na co zasłużył. Jechał do swych rebeliantów na darowanym mu przez nich motorze i miał wypadek. Wpadł na niego motor jadący z naprzeciwka i tylko jego poturbował. Innym pasażerom ani sprawcy kolizji nic się nie stało. A ranny Judasz pewnie straci nogę... Dla wielu to prosty dowód na istnienie Bożej sprawiedliwości.

Ja nie podzielam tego zbyt prostego rozumowania, bo idzie nieco na skróty. Nie okazuję również – co wielu dziwi – najmniejszego cienia satysfakcji, a jedynie współczucie.

W naszym ośrodku zdrowia siostra nie miała mu nic do zaproponowania oprócz usztywnienia nogi i opatrunku. Kość pod kolanem pogruchotana, a szpik na wierzchu... Jego kamraci z seleka zorganizowali mu transport na ciężarówce do szpitala MSF (Lekarze bez Granic) w Paoua – 100 km na workach – prawdziwa droga krzyżowa. Coś o tym wiem, ale nie ma porównania. Wieszono mnie kiedyś ze złamaną ręką setkę kilometrów, ale do Garoua w Kamerunie, po asfalcie i karetką. Co przecierpiał to on tylko wie.

MSF zajęli się nim profesjonalnie i nawet ewakuowali samolotem na operację do Bangui. Ja tymczasem pojechałem do Polski, ale przed wyjazdem uczuliłem katechistę mieszkającego w pobliżu Judasza, by chrześcijanie zajęli się jego dziećmi, domem i wyplewili mu zasiane pole – mimo, że łotr, to jednak w nieszczęściu trzeba mu okazać współczucie.

Po powrocie zastałem Iskariotę, w Ndim i o dziwo, z całą nogą, choć w gipsie. Wrócił niedawno z leczenia, ale niedokończonego. Na nodze, w miejscu po operacji (miał przeszczep kości i śruby) była parszywa, ropiejąca rana. I tu wkroczyłem do akcji.

Za radą br. Maćka Jabłońskiego, który się na medycynie zna, wysłałem Judasza do szpitala w Bocaranga, stamtąd dalej do Maigaro (szpital katolicki), bo tylko tam mają rentgena (Uwaga! Szpital powiatowy w Bocaranga nie ma nawet tego podstawowego urządzenia – takie

są realia afrykańskie). Potem jedzie do naszego MNDP w Czadzie. Mówiło się o amputacji, a tu z tego objazdu po szpitalach wrócił nadal z całą nogą i nawet przyzwolicie zaleconą raną.

Ludzie pukają się po głowach. Ten biały (to ja) ma chyba nie poukładane w głowie – troszczy się o swego wroga! Ale to właśnie w tym miejscu zaczyna się newralgiczna strona Ewangelii o miłości nieprzyjaciół. Serce nie sługa – sympatii do typa nie czuję – lecz, gdy osioł twego przeciwnika wpadnie do dziury, wyciągnij go – mówi już Stary Testament.

Happy endu jednak nie będzie. Mój przyjaciel Judasz miał dokończyć leczenia pod nadzorem sióstr. Przy



brat Robert Wieczorek OFMCap

Zdecyduj się i pomóż!

SEKRETARIAT MISYJNY Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

opiekuje się misjonarzami pracującymi
na kontynencie afrykańskim
w Republice Środkowoafrykańskiej
i Republice Czadu.

Wspieraj misję swoją modlitwą, pracą i ofiarą.

Sekretariat Misyjny Kapucynów
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO BP: 97 1020 2892 0000 5502 0016 6371

FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE

zajmuje się organizowaniem i niesieniem pomocy
humanitarnej, dobroczynnej i charytatywnej ludziom
potrzebującym w krajach afrykańskich,
w których pracują misjonarze z Zakonu
Braci Mniejszych Kapucynów.

Przyłącz się do nas już dziś!

Fundacja Kapucyni i Misje
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO S.A. 47 1240 4533 1111 0010 3492 9934
www.fundacja.kapucyni.pl



KRS: 0000356850

Biuletyn „Kapucyni i misje”

Za zgodą władzy zakonnej.
Do użytku wewnętrznego Kościoła.
Koszt prenumeraty to dowolna ofiara
na pokrycie wydatków związanych z drukiem.

Wydawca:

Sekretariat Misyjny, ul. Korzeniaka 16
30-298 Kraków, tel. (+48 12) 623 60 50 wew.132
e-mail: misje@kapucyni.pl
www.misje.kapucyni.pl

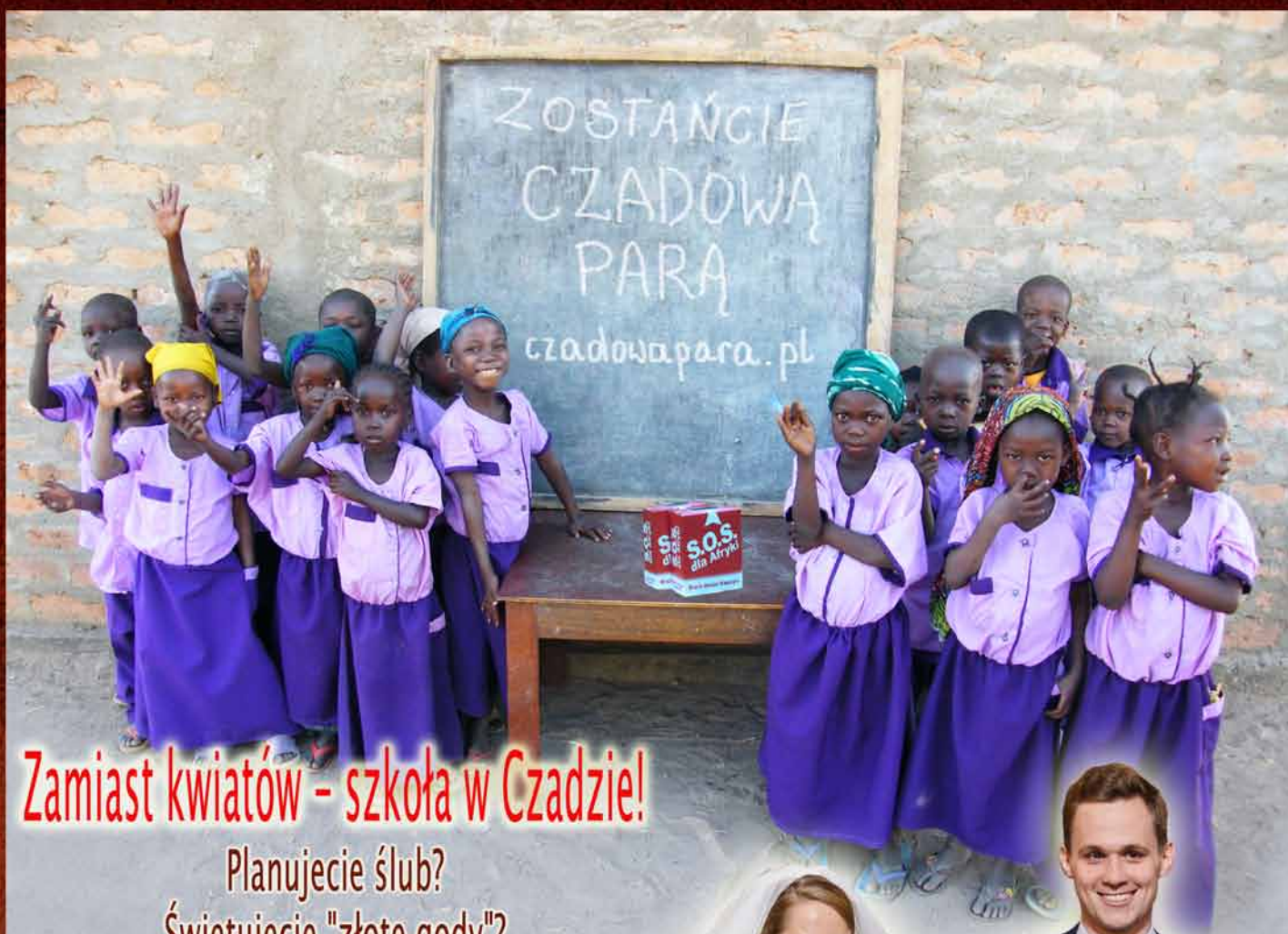
Redakcja:

br. Jerzy Steliga OFMCap (red. naczelny)
Diana Bonowicz,
Nakład: 5500 egz.

Skład i druk:

Studio Graphito, tel. 71 310 21 65





Zamiast kwiatów - szkoła w Czadzie!

Planujecie ślub?
Świętujecie "złote gody"?
Obchodzicie imieniny?

Poproście Waszych gości o nieprzynoszenie kwiatów na Waszą uroczystość. W zamian niech złożą ofiarę do puszek misyjnej. Kwiaty zwiędną szybko, a Wasz dobry uczynek pozostanie.

Z przekazanych pieniędzy misjonarze kapucyni sfinansują edukację swoich podopiecznych. W ten sposób, bez ponoszenia żadnych kosztów i bez wysiłku, pomożecie najbiedniejszym dzieciom w Afryce. Dacie im szansę na to, by nauczyły się czytać i pisać. Dacie im nadzieję na lepsze życie.

Za Wasz dar, misjonarz zrobi specjalnie dla Was, oryginalne zdjęcie z imiennym podziękowaniem od dzieci z Czadu.

Zostańcie Czadową Parą



fot. K. Chudy

www.czadowapara.pl
czadowapara@kapucyni.pl